Gardner F. Fox

Ostatni potwór

(The Last Monster)

Planet Stories, Fall 1945
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Irgi był ostatnim ze swojej rasy. Dzisiaj nie było już nikogo innego; nie było już od setek, setek lat. Irgi stracił już rachubę czasu, odkąd mieszkał tu sam, pośród marmurowych sal antycznego miasta, ale wiedział przynajmniej tyle. Innych już nie było.

Tylko Irgi, samotny.

Krążył teraz po hebanowych posadzkach, mijając białe marmurowe ściany, obwieszone złotymi draperiami, które nigdy nie wyblakną, ani nie stracą swego złocistego połysku w opalizujących mgłach, kąpiących miasto w świetlistej bieli. Wstęgi ich macek zwieszały się nisko, tuląc wszystko w swym ciasnym uścisku, niszcząc pyły i zarazki. Irgi odkrył mgły wiele lat temu, kiedy było już zbyt późno, aby uratować jego gatunek.

Ponad tym największym z miast Urg, umieścił ogromną kopułę z przezroczystego metalu, wypełnił ją mgłą, i zebrał w niej skarby swego ludu. Sprowadził bogactwa Urg z Bar Nomali, z Farylu, z położonego w odległej dżungli miasta Kreed, gromadząc je w jednym miejscu. Irgi cieszyło piękno, i cieszył się swą pracą. To właśnie obie te rzeczy utrzymały go przy zdrowych zmysłach.

Zbliżył się do potężnych wrót z brązu, a kiedy jego ciało przecięło niewidoczną wiązkę światła, skrzydła z brązu rozsunęły się na boki, bezszelestnie, ukazując ogromną okrągłą komnatę, wypełnioną brzękiem i łomotem, oraz niebieską poświatą, połyskującą na metalowych prętach, słupach i dziesięciu stalitowych stożkach.

W wejściu Irgi zatrzymał się i przebiegł wzrokiem po komnacie, ciężko wzdychając.

To właśnie ten niebieski brzęk i łomot, to było dzieło jego życia. Te dziesięć stożków, wznoszących swe zakończone dyskami wierzchołki ku okrągłemu sklepieniu, otaczało wielki blok promieniującej białej materii, zawieszony bez ruchu między stożkami w pustym powietrzu, i wysysało z niego energię. Całą energię, jaką te stożki i blok posiadały. Nie było żadnej rzeczy, której nie mogłyby one dokonać, gdyby tylko Irgi chciał. To było kolejne odkrycie, które przyszło zbyt późno, aby uratować Urg.

Irgi przemierzył pomieszczenie. Nacisnął kilka błyszczących klejnotami prostokątów na panelu kontrolnym na ścianie, jeden po drugim, we właściwej kolejności.

Niebieska opalizująca poświata pogłębiła się, zrobiła się ciemniejsza i bardziej intensywna. Brzęczenie nasiliło się, zmieniając się w zgrzytliwy rumor. A osobliwy blok świecącego metalu, bijący w oczy zaskakującą bielą, na tle niebieskiej poświaty, zaczął migotać i pulsować.

Irgi wyciągnął się ku górze, powoli się obracał, otoczony drżącymi kobaltowymi pasmami, które wystrzeliły na zewnątrz ze stożków. Obmył swe ciało w ich kolorowych wzorach, wyciągając się ku nim, rozpryskując, rozprowadzając je po całej klatce piersiowej i torsie. Kiedy go dotknęły, rozległo się delikatne, leniwe brzęczenie; potem rozeszły się wokół niego, otaczając zupełnie jego ogromną postać.

Irgi był nieśmiertelny i właśnie to niebieskie światło takim go uczyniło.

— A więc, dokonało się — wyszeptał sam do siebie. Teraz, przez kolejny oval mogę przemierzać całą Urg, zgodnie ze swoją wolą, jako że iskra życia we mnie została oczyszczona i ożywiona.

Dotknął usianych klejnotami przycisków, zmniejszając moc urządzenia do cichego pomruku. Skierował się do wrót z brązu, przeszedł przez nie, zanurzając się w zamglone sale miasta.

— Muszę mówić — rzekł Irgi, idąc korytarzem. — Nie wypowiedziałem ani słowa już od wielu tygodni. Muszę ćwiczyć swój głos, albo go utracę. Takie są prawa natury. Jeśli nie będę mówił, głos ulegnie atrofii.

— Tak. Użyję mego głosu dzisiaj wieczorem. Wyjdę spod kopuły, aby popatrzeć na gwiazdy oraz na inne planety krążące w pobliżu Urg, i będę do nich mówił. Opowiem im, jak bardzo Irgi jest samotny.

Skręcił i ruszył przez salę, otwierającą się na szeroki balkon, który znajdował się bezpośrednio pod segmentem potężnej kopuły. Popatrzył do góry, wytężając z całej siły oczy żeby przebić wzrokiem ciemność napierającą na niego z nieba.

— Gwiazdy — wyszeptał, — wysłuchajcie mnie jeszcze raz. Jestem samotny, o gwiazdy, a miano i sława Irgi nie znaczy nic dla murów mego miasta, ani dla Komnaty Stożków, ani nawet – czasami – dla samego Irgi.

Przerwał, a jego wpatrzone w górę oczy, rozszerzyły się ze zdumienia.

— Na Blok — powiedział w otaczającą go ciszę. — Tam w górze coś jest. Coś, co nie jest gwiazdą, ani planetą, ani też meteorem.

To był statek kosmiczny.

Emerson zdjął ręce ze sterów gigantycznego, pędzącego przez kosmos statku, i otarł spocone dłonie o uda. Jego szare oczy, jak stalowym szydłem, świdrowały spojrzeniem krążący w dole, w kosmicznej pustce potężny glob.

— Ostatnia planeta na naszej trasie — westchnął. — Być może tutaj znajdziemy rad!

— Tak — wyszeptał z przejęciem siedzący koło niego mężczyzna, zwilżając językiem wargi. — Lepiej nie myśleć o porażce. Jeśli go tu nie będzie, my sami zginiemy tam, na dole.

Rad. I Plaga. Spadła ona na Ziemię nagle, już w pierwszych dniach podróży kosmicznych, kiedy Quigg, amerykański naukowiec z Cal Tech, odkrył sposób wyniesienia statku rakietowego z Ziemi i osiągnięcia przez niego Księżyca.

Pierwsze statki kosmiczne, były powolnymi, ospałymi pojazdami; zupełnie odmiennymi od wysmukłych okrętów, przemierzających kosmiczną pustkę w dniach dzisiejszych. Ale to był początek. I nikt niczego się nie domyślał, nawet kiedy Quigg, który jako pierwszy wykonał lot w kosmosie, umarł na raka.

W miarę jak lata zmieniały się w dekady i statki z Ziemi latały na Marsa i Wenus, zaczęło być jasne, że życie spędzone na podróżach kosmicznych, oznaczało potworną śmierć. Naukowcy przypisywali to promieniowaniu kosmicznemu, ponieważ w przestrzeni nie ma ochronnej

warstwy atmosfery, która chroniłaby tkanki ciała ludzkiego przed jego przeszywającą energią. Już od dawna istniała teoria, że promieniowanie kosmiczne ma związek z narodzinami nowego życia w kosmosie; być może, jak twierdzili niektórzy, było ono bezpośrednią przyczyną powstawania życia. Stąd też, powodując nieuporządkowany rozrost nowych komórek, nazywanych przez ludzi rakiem, promienie kosmiczne niszczyły to samo życie, które stworzyły.

Oznaczało to śmierć podróży kosmicznych i tylko oszałamiające kwoty płacone młodym ludziom, wierzącym w krótkie ale wesołe życie, utrzymywały ruch statków między Marsem, Ziemią i Wenus. Ołów powstrzymywał promieniowanie kosmiczne, ale ołów nie wytrzymywał ogromnej prędkości, niezbędnej do wyrwania się pojazdu z objęć grawitacji planety; zaś wykładanie nim statków od środka prowadziło ludzi prosto w objęcia szaleństwa, powodowanego przez iluzje wywołane zatruciem ołowiem.

Liczba przypadków raka na Ziemi narastała. Zorientowano się, że wirusowa postać raka kosmicznego, jak go nazwano, była w osobliwy sposób, do pewnego stopnia zaraźliwa. Niepokój zaczął się rozprzestrzeniać. Ludzi, którzy podróżowali w kosmosie, odizolowywano, ale szkoda została wyrządzona.

Plaga rozprzestrzeniła się i zaczęła wyniszczać ludzi na trzech planetach.

Do walki z nią przygotowano szpitale i użyto zasobów cennego radu. Ale rad był trudny do zdobycia. Po prostu nie było go wystarczająco dużo do tego zadania.

Zbudowano więc statek, najszybszy pojazd stworzony przez człowieka. Został on zaprojektowany pod kątem osiągania jak największych prędkości. Dla porównania, najszybsze statki międzyplanetarne używane do tej pory, wydawały się przy nim ociężałymi krypami. I ludzkość powierzyła go Valentine'owi Emersonowi, aby wyruszył nim do gwiazd, w poszukiwaniu cennego radu w odpowiednio dużych ilościach do powstrzymania Plagi.

Nie było łatwo znaleźć załogę. Wszystkie trzy planety wiedziały, że ci ludzi ruszą ku swej zagładzie. Byłoby prawdziwym cudem, gdyby udało im się dotrzeć choćby do jednej planety, zanim umrą na kosmicznego raka, przed osiągnięciem tego pierwszego celu. Carson Nichols, którego żona i dzieci cierpiały na Plagę, błagał go o danie mu tej szansy. Karl Mussdorf, morderca skazany na marsjańskie kopalnie soli, niechętnie zgodził się polecieć z nimi, za cenę obietnicy ułaskawienia, gdyby udało mu się powrócić. Z Mussdorfem na pokład trafił Tilford Gunn, mężczyzna o wiecznie skrzywionej twarzy, znający się na radiu, kucharzeniu i sztuce kradzieży kieszonkowej. Ci dwaj wydawali się być nierozłączni.

Teraz, Emerson delikatnie westchnął:

— Tak, lepiej żeby tu był, inaczej zginiemy.

Przesunął drżącymi palcami po swym przedramieniu, obmacując dziwne grudki, które oznaczały raka. Wzdrygnął się mimowolnie.

Na metalowym pomoście pod nimi, zadźwięczały kroki. Mussdorf wspiął się po drabince i stanął na nogi. Był równie wysoki jak Emerson,

masywnie zbudowany, kiedy Emerson był smukły i zwinny. Można go było porównać do granitu, podczas gdy Emersona do giętkiej stali. Miał czarne włosy i krzaczaste brwi. Wskazująca na upór szczęka, wystawała mu do przodu pod cienkimi, twardymi ustami.

— No to mamy, Karl — powiedział Nichols. — Miejmy nadzieję.

Mussdorf ponuro popatrzył spode łba i splunął.

— Cholerny sposób na spędzenie ostatnich dni — warknął. — Umieram żywcem i mam zostać męczennikiem za miliard ludzi, którzy nawet nie wiedzą, że żyję.

— Oczywiście, ty znasz lepszy sposób by umrzeć — zaripostował Emerson.

— Pewnie, że tak. W New Mars jest taki słodki, mały rudzielec. Ona nawet śmierć uczyniłaby przyjemną. Prawdę mówiąc — lekko zachichotał, — właśnie w ten sposób chciałbym umrzeć.

Emerson parsknął, opuszczając wzrok na stery. Pod jego pewnymi palcami, statek ześlizgnął się bokiem w objęcia grawitacji ogromnego ciała niebieskiego, zadrżał przez chwilę, a następnie zaczął schodzić w dół.

— Powiedz Gunnowi, żeby wszedł do nas — polecił Emerson. — Nie powinien siedzieć tam na dole.

Mussdorf położył się na podłodze, wsadził swój kudłaty łeb w otwarty właz zawołał. Z głębi statku odpowiedział mu okrzyk. W chwilę później Gunn dołączył do pozostałych: mały człowieczek z krzywym uśmiechem, zmieniającym jego twarz w twardą maskę.

— Szefie, myślisz, że znajdziemy to? — spytał Emersona.

— Odpowiedź da nam spektroskop. Wyciągnij go.

— Oczywiście.

Statek zakołysał się łagodnie, kiedy Emerson posadził go na płaskiej, skalistej równinie, między dwiema skalistymi górami, wyrastającymi raptownie na krańcach niewielkiej dolinki. Właśnie się rozjaśniło, kiedy promienie słabego słońca, wokół którego krążyła ta planeta, wystrzeliły ponad ich szczytami. Jak srebrzysta igła na czarnym skalnym podłożu, pojazd kosmiczny podskoczył raz, drugi; potem stanął bez ruchu.

Między jego błyszczącymi ścianami, czterech ludzi pochylało się ze stężałymi twarzami nad świecącymi kolorowymi paskami na ekranie spektroskopu. Drżącymi palcami Emerson pokręcił tarczami i pokrętłami przyrządu.

— Do diabła! — wybuchnął Mussdorf. — Mogłem się tego domyślić. Nawet śladu.

Emerson delikatnie dotknął swojego przedramienia i wzdrygnął się.

Nichols przygryzł wargę i pomyślał o Marge oraz dzieciakach. Gunn oblizał wargi suchym językiem i bez przerwy wpatrywał się w Emersona.

Jednym ruchem swej muskularnej ręki, Mussdorf cisnął urządzeniem o ścianę pomieszczenia, rozbijając je na kawałki.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

Coś zaszemrało w statku. Poderwali głowy do góry i stali, nasłuchując. Wokół nich przeleciał delikatny poszept, pytający, ciekawy. Nadleciał ponownie, rozkazujący; nagle natarczywy.

— O Boże — wyszeptał Gunn. — Co to jest, szefie?

Emerson pokręcił głową, marszcząc brwi, niespodziewanie dla siebie, ciesząc się, że inni też to słyszeli.

— Może ktoś próbuje do nas mówić? — stwierdził Nichols.

Szepty stawały się coraz głośniejsze i ostrzejsze. Gniewne.

— Tylko spokojnie — wykrzyknął szaleńczo Mussdorf. — Nie wiemy, co do nas mówisz. Jak moglibyśmy ci odpowiedzieć, ty głupi świrze?

Gunn zachichotał histerycznie.

— Nie znamy nawet słowa w jego cholernym języku!

Szelest ucichł. Na statku zawisła niesamowita cisza. Ludzie patrzyli po sobie, z ciekawością; i jakoś z lekką nerwowością.

— Co on musi mieć za radio — przyciszonym głosem zauważył Emerson. — Cały metal w kadłubie naszego statku posłużył mu za głośnik. To dlatego słyszeliśmy go ze wszystkich stron.

Mussdorf przytaknął, ściągając swe krzaczaste brwi.

— Zobaczymy, jaki będzie jego następny ruch — wymamrotał. — Jeśli zrobi się zbyt natarczywy, spróbujemy na nim blastera.

Statek zaczął emitować miękką poświatę, leciutko czerwonawe, delikatne, zielone światło. Skąpało ono całe jego wnętrze, nadając ludziom widmowe zabarwienie. Gunn zadrżał i spojrzał na Emersona, który podszedł do okna iluminatora; stał tam, wyglądając na zewnątrz i ciężko oddychając.

— A co się teraz dzieje? — wykrztusił Gunn.

— Jesteśmy nad ziemią! Cokolwiek by to nie było, podnosi nas!

Pozostali stłoczyli się wokół niego, wyglądając na zewnątrz. Tam, zieleń była bardziej jaskrawa, intensywna. Czuli jak przepływ energii wywołuje im mrówki na skórze. Pod nimi, najeżony skałami wierzchołek góry, niemal zawadził statek. Przed ich oczyma rozpościerała się panorama martwej planety.

Czarne pustkowie pokrywało rumowisko wielkich skał, pokruszonych i zwalonych jedna na drugą. Na ich ostrych krawędziach błyszczało światło słońca, tworząc głębokie cienie. Daleko na północy w ponure niebo strzelały ośnieżone szczyty łańcucha gór. Na południu, za skałami, rozciągało się białe pustynne piaski. Natomiast na zachodzie…

— Miasto! — wykrzyknął Nichols. — Zamieszkałe miejsce. Dzięki Bogu, dzięki Bogu…

Mussdorf wybuchnął śmiechem.

— Za co? Skąd mamy wiedzieć, jacy oni będą? Zamieszkała planeta, nie oznacza ludzi. Przekonaliśmy się już o tym – kilka razy.

— Zawsze to jakaś nadzieja — ostro rzucił Emerson. — Może będą mieli trochę radu, składowanego tak, że nasz spektroskop nie był w stanie go wychwycić.

Potężna półkula, która wisiała nad miastem, błyszczała w porannym słońcu. Pod nią, nad pełnymi gracji budynkami i zaokrąglonymi dachami,

wznosiły się z nieziemskim pięknem białe wieże i iglice miasta. Nad jego ulicami, zdawała się wisieć lekka mgiełka.

— Jest puste — ciężkim tonem zauważył Nichols. — Opuszczone.

— Coś musiało przeżyć — zaprotestował Emerson. — Coś, co do nas przemawiało, co kontroluje ten zielony promień.

Fragment kopuły odsunął się do tyłu i statek kosmiczny wjechał przez powstały otwór. Kopuła zamknęła się za nim.

— Teraz nas mają — chrząknął Mussdorf. Przesunął palcami po szybie iluminatora, naciskając tak mocno, że kiedy uniósł palce aż było widać bladą skórę na opuszkach. Szybko dodał: — Wy możecie tu sobie zostać, jeśli chcecie, ale ja wolę wziąć blaster. Nawet dwa. Nie mam zamiaru dać się zaskoczyć, kiedy trzeba będzie zacząć działać.

Ześlizgnął się po drabince i zniknął z pola widzenia. Słyszeli jak biegnie na dół; potem doleciał do nich trzask otwieranych drzwi do magazynu broni. Niemalże widzieli go, jak obwiesza się pistoletami, przypinając je do pasa.

— Dla nas też przynieś! — zawołał nagle Emerson i odwrócił się z powrotem, aby wyjrzeć przez okno.

Statek osiadł na białych płytach ogromnego placu. Zielony promień nagle zniknął. Niesamowita cisza panująca na placu opadła na nich potężnym brzemieniem.

— Myślicie, że bezpiecznie będzie wyjść na zewnątrz? — spytał Nichols.

— Sprawdź rejestrator składu atmosfery — powiedział Emerson. — Jeśli wszystko będzie w porządku, sam chętnie rozprostuję nogi.

Nichols poruszył chromowanymi pokrętłami, spoglądając na czerwoną linię, która zadrżała na plastikowym ekranie, a potem gwałtownie zastygła, idealnie prosta.

— Hej — wykrzyknął z ekscytacją Nichols. — Jest czyste. To znaczy, absolutnie czyste. Żadnych zarazków. Żadnego pyłu. Tylko czyste powietrze!

Emerson skoczył do niego, wpatrując się w ekran ze zmarszczonymi brwiami.

— Brak zarazków. Ani odrobiny pyłu. Przecież… to znaczy, że w tym miejscu nie ma chorób! Żadnych chorób!

Zaczął się śmiać, ale po chwili się opanował.

— Nie ma chorób — wyszeptał. — A my wszyscy poumieramy na raka.

Po drabince wspiął się Mussdorf i rozdał blastery. Przypięli je na biodrach, a Mussdorf w tym czasie odryglowywał właz zewnętrzny. Odepchnął jego pokrywę i do statku wdarło się czyste powietrze oraz leciutkie smużki białawej mgiełki.

Nichols wziął głęboki oddech i jego chłopięcą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Czuję się znowu jak dzieciak, w wiosenny dzień na Ziemi. Wiecie, z piłką i rękawicą pod pachą, z lejącym się z góry słońcem, kręcąc młynki

pałką i gwiżdżąc. Jak dobrze wtedy człowiek się czuł. Było się młodym. Młodym! Czuję właśnie coś podobnego.

Uśmiechnęli się w odpowiedzi i przeszli przez właz, schodząc na ulicę.

Odwrócili się.

To zmierzało w ich stronę przez plac, płynnie poruszając się na ogromnych czarnych mackach, wznoszących się na wysokość dwudziestu stóp, z wielkim torsem, wyglądającym jakby był wyrzeźbiony z żyjącego, czarnego marmuru. Do tego głowa, z dziesięcioma oczyma patrzącymi na nich z góry. Z torsu wyrastało sześć rąk, wijących się jak macki, z których wisiały grube jak palec rzęsy.

— Boże — wyszeptał Mussdorf. — A co to jest?

— Nie wiem — odparł Emerson. — Ale może jest przyjazne…

— Przyjazne? — spytał ochryple Mussdorf. — To nawet nie zna znaczenia tego słowa! Zaraz je poczęstuję z blastera…

Jego dłoń pomknęła ku wiszącemu w pochwie blasterowi; wyrwał go, kierując do przodu; zaczął wystrzeliwać jaskrawe żółte wyładowania tak szybko, jak tylko był w stanie naciskać na spust.

— Uważaj! — wykrzyknął Emerson.

Stworzenie wykręcało się na boki z nieziemską gracją, unikając bursztynowych wyładowań o sile słońca, które skwiercząc przelatywały ze świstem koło jego bulwiastej głowy. W trakcie kolejnego ruchu, jego mackowate ramiona i nogi wystrzeliły z niesamowitą szybkością, chwyciły i otoczyły Mussdorfa.

Wielki Ziemianin został uniesiony w powietrze, ściśnięty tak mocno, że płuca niemalże mu się zapadły. Zwisał bezwładny w gigantycznej macce, podczas gdy Emerson pobiegł w bok, próbując znaleźć pole do strzału, nie trafiając Mussdorfa. Stworzenie było jednak diabelsko mądre. Trzymało Mussdorfa w powietrzu, między sobą i Emersonem, podczas gdy inne ramiona śmignęły ku Gunnowi i Nicholsowi, unosząc ich do góry i potrząsając nimi, jak terier potrząsa szczurem.

— Trzymajcie się! — zawołał Emerson, klucząc i lawirując z bronią w ręku, szukając miejsca w które mógłby strzelić.

Stworzenie nagle odrzuciło Ziemian; nogi sprężyły się pod nim i wyrzuciły je z pełną szybkością w stronę Emersona. Złapany w chwili nieuwagi Ziemianin uniósł swój blaster… i poczuł, że został on mu wyrwany z palców, zdając sobie sprawę, że zaraz zwali się na niego twarda czerń. Rzucił się do tyłu, przerażony…

Irgi wpatrywał się w stworzenia, które leżały na białych płytach chodnika. Były takie dziwaczne, zupełnie niepodobne do niczego co Irgi widział kiedykolwiek wcześniej. Tylko dwie nogi, dwie ręce. I to jakie małe i słabe te członki! Przecież każdy urgiański kot miałby z nimi króciutką robotę, oczywiście gdyby urgiańskie koty nadal jeszcze istniały. A Irgi nigdy nie uważał kotów za specjalnie niebezpieczne.

Popatrzył na statek, wypuścił w jego stronę badawcze sondy myślowe. Ponownie obrzucił wzrokiem leżące stworzenia, i pokręcił głową.

Niezależnie od tego, jakie by nie były dziwne, opanowały sztukę podróży międzyplanetarnych. No cóż, zawsze uważał, że życie na różnych planetach, może być bardzo odmienne. Życie tutaj, na Urg, przyjęło widać inne wzorce.

Irgi nachylił się, aby wziąć te dziwne istoty w swe długie ramiona i podnieść je z ziemi. Jego oczy zauważyły nagle grudki wystające z ich rąk, nóg, z twarzy i piersi. Narośla chorobowe! Wyglądało to źle, ale Irgi znał sposób, aby je wyleczyć. Irgi znał sposób na wyleczenie wszystkiego.

Przemknął szybko przez plac i ruszył po płaskiej, lśniącej rampie prowadzącej pod górę do zwieńczonych łukiem wrót, świecących jasno jak diament, w ścianie długiego niskiego budynku koło potężnej okrągłej Komnaty Stożków. Ciężar niesionych stworzeń nie sprawiał mu żadnego kłopotu. Dało mu to chwilę czasu, aby pomyśleć.

Cieszył się, że spotkał te stworzenia. Nareszcie było z kim porozmawiać, po tylu wiekach samotności. Ale kiedy zbliżał się do nich na placu, wykrzykując radosne powitania, one go nie usłyszały. Jego głos miał wysokość ośmiu wibracji na sekundę. Zastanawiał się mimochodem, czy to nie było czasami poza zakresem słyszalności tych dwunogich stworzeń. Powinien to sprawdzić, żeby się upewnić. A jednak, słyszały go wcześniej, na swoim statku. Wychwycił zmieszany, gniewny pomruk rejestratorem promieniowania. Może metalowy kadłub ich statku w jakiś sposób uczynił jego głos słyszalnym dla nich, przyśpieszając drgania powietrza do dwunastu, czy piętnastu na sekundę.

Poza tym była jeszcze sprawa tych narośli chorobowych. Mógł je dosyć łatwo wyeliminować w Komnacie Stożków. Ale najpierw trzeba było ich przygotować. A przygotowania – bolały. No cóż, lepiej narazić ich na kilka chwil męczarni, niż na śmierć w znacznie gorszych.

A jeśli on nie będzie potrafił do nich mówić, to oni będą mogli mówić do niego, poprzez swoje umysły. Skoro już są nieprzytomni, mógł przejrzeć ich wspomnienia na ekranie elektrigrafu. To powinno być interesujące. Zastanawianie się nad nimi, da Irgiemu chwilę szczęścia, a Irgi nie znał szczęścia już od bardzo długiego czasu.

Prosto od wejścia pomknął do dużego, białego pomieszczenia, pełnego szklanych flakonów, retort i błyszczących metalowych przyrządów. Irgi wrzucił swoje ładunki na płaskie, gładkie stoły. Szybkimi ruchami macek skorygował pasy do ich rozmiarów i bezpiecznie ich poprzypinał. Z małego wózka na kółkach wyjął metalowy pręt i dotknął nim do ich czół. W chwili kontaktu z ciałem, urządzenie leciutko buczało.

— To na razie spowoduje zwarcie w ich systemach nerwowych, absorbując ładunki elektryczne wysyłane przez mózg każdej inteligentnej istoty — oznajmił na głos Irgi, z zadowoleniem przyjmując tę szansę poćwiczenia głosu. — Przez jakiś czas nic nie będą czuli. Ockną się, kiedy minie najgorszy ból. A teraz sprawdźmy ich umysły…

Umieścił im na głowach metalowe obejmy, solidnie je zaciskając. Przyciągnął sobie szklisty monitor na kółkach; podłączył zwisające z jego obudowy kable, do metalowych obejm.

— Ciekawe, czy opracowali coś takiego — zadymał się Irgi. — Muszą zdawać sobie sprawę z tego, że mózg wysyła fale elektryczne. Może

potrafią rysować te fale na wykresach. Ale czy wiedzą, że każde zakrzywienie i załamanie tych fal reprezentuje jakiś obraz? Ja umiem przełożyć te fale na obrazy – ale czy oni to potrafią?

Lekko ugiął podtrzymujące go macki i przycupnął spoglądając na ekran, kiedy pociągnął za dźwignię.

Obraz na ekranie zadrżał; zasnuł się mgłą, a potem wyostrzył. Irgi stwierdził, że patrzy na miasto większe niż Urg. Wysoko w niebo strzelały surowe, białe wieże, a wokół nich rozciągały się szerokie, płaskie rampy, poprzeplatane wzajemnie jak pasma światła słonecznego. Na najwyższych i największych budynkach znajdowały się wielkie metalowe platformy, ciemno połyskujące, na których lądowały i z których startowały dziwnie zbudowane latające statki.

Scena nagle się zmieniła. Spoglądał na pokój szpitalny i widział uśmiechającą się do niego ładną, młodą kobietę. Ona także miała te chorobowe narośla. Po chwili przed jego oczami rozpostarły się ogromne kopalnie soli, w których nadzy ludzie uderzali wielkimi kilofami w zaskorupiałe kryształy, trudząc się i umierając w promieniach dziwnego słońca. Nawet u tych wyrzutków ludzkości widać było ropiejące narośla.

Z ekranu spoglądał na niego wysoki, szczupły człowiek. Jego wargi się poruszały, a Irgi odczytał znaczenie wypowiadanych słów. Człowiek ten mówił do kogoś, o nazwisku Emerson, nadając mu dowództwo statku kosmicznego, przypominał mu o konieczności znalezienia radu i straszliwym charakterze plagi. Myśli tego Emmersona, zrobiły się wyraźniejsze, kiedy Irgi z nagłym zainteresowaniem, pstryknął kolejnymi przełącznikami. Myśli bez słów, wlewały się do jego umysłu przez kolejne sceny na ekranie. Słów nie rozumiał, ale konieczność zdobycia radu i zagrożenie powodowane przez chorobowe narośla, były dla niego oczywiste. Obrazy zaczęły się plątać, zrobiły się zagmatwane…

Irgi patrzył na kolosalną postać wyrzeźbioną w białym marmurze. Odczytał z trudem litery, wycięte w podstawie rzeźby: GEORGE WASHINGTON. Zastanowił się mimochodem, cóż ten Washington zrobił, żeby zasłużyć na taką nieśmiertelną sławę. Musiał stworzyć naród, albo go uratować. Poczuł ukłucie żalu, że nie pozostali już przy życiu żadni Urgianie, aby zbudować taki pomnik jemu.

Poderwał się nagle, stając na wyprostowanych mackach i delikatnie się kołysząc. Przecież ma moc uczynienia się nieśmiertelnym! Te stworzenia mogłyby zbudować jego pomniki! To prawda, nie mógł stworzyć narodu – ale mógł go uratować!

Irgi poodpinał obejmy i odtoczył monitor na bok. Sięgnął do rzędu czarnych gałek, wmontowanych w ścianie i uważnie nimi pokręcił. Kiedy się odwrócił, zobaczył jak ciała czworga ludzi wyciągają się i sztywnieją, zaś z blatu każdego stołu zaczęła wydobywać się czerwona aura, wznosząc się coraz wyżej, aby rozpłynąć się w powietrzu w pobliżu sufitu.

— To przygotuje ich ciała na Komnatę Stożków — stwierdził. — Kiedy zrozumieją, że jestem ich przyjacielem, z ochotą wysłuchają moich rad!

Irgi otworzył drzwi laboratorium, wyszedł na zewnątrz i zamknął je za sobą.

Z czoła spływał mu pot męczarni, zalewając oczy i policzki. To właśnie on ocucił Emersona. Otworzył szeroko oczy, a po chwili zacisnął je z całej siły, ponieważ jego ciało skręcało się z bólu.

— O, Boże! — wyjęczał, krwawiąc z ust. To zęby przygryzły mu wargi.

Każdym włókienkiem ciała czuł jakby ktoś wbijał mu ostre skalpele i poruszał nimi na boki. Ręce, nogi, klatka piersiowa, brzuch, wszystko skręcało się z bólu. Cała tkanka podskórna, wzdłuż mięśni i kości, pulsowała w palących męczarniach. Nie mógł tego wytrzymać; nie mógł…

Szarpnął w prawą stronę głową; zobaczył, że pozostali tak jak i on leżą rozciągnięci na stołach i przypięci do nich. Byli nieprzytomni. Jakim prawem ignorowali jego męczarnie? Dlaczego nie dzielili ich razem z nim? Otworzył usta do krzyku; potem zagryzł je ponownie, mocno.

Nagle rozległ się wrzask Nicholsa, jego również bolało.

To obudziło pozostałych. Oni też zaczęli wrzeszczeć, wyć i szlochać. Ich ręce i nogi wykręcały się jak u schwytanego w sidła dzikiego zwierzęcia.

— Muszę się uwolnić — wysapał Emerson, szarpiąc z całej siły pasy na nadgarstkach. Twarde mięśnie jego rąk, napięły się z wysiłku, ale pasy wytrzymały. Opadł bezwładnie, łkając.

— To ten diabeł — wrzasnął Mussdorf. — To ten dziesięciooki, ośmiorniconogi, podły pomiot parszywego potwora, nam to zrobił! Niech go diabli! Niech go diabli! Jeśli kiedykolwiek uda mi się uwolnić, wyrwę mu serce i zmuszę, żeby je zjadł!

— Może… może on prowadzi na nas wiwisekcje — lamentował Nichols. — Używa jakichś promieni albo… albo czegoś… aaaa! Nie wytrzymam tego!

— Trzymaj się, stary — wyzgrzytał Emerson, zmagając się z pasami. — Wydaje mi się, że to słabnie. Tak, tak – wyraźnie. Teraz już tak bardzo nie boli.

Mussdorf chrząknął ze zdziwieniem.

— Masz rację. To słabnie. Hej, jedna ze sprzączek przytrzymujących mi ręce chyba się poluźniła. Jest trochę naderwana. Może uda mi się tę rękę uwolnić.

Wszyscy obrócili głowy, żeby się przyglądać, zagryzając wargi. Pot zrosił bezbarwnymi kropelkami ich blade czoła. Grube ramię Mussdorfa napięło się potężnie, kiedy zwijał się i ciągnął, sapiąc z wysiłku. Sprzączka strzeliła na zewnątrz, dzwoniąc o blat stołu, a on był wolny. Mussdorf uniósł rękę i roześmiał się chrapliwie z tryumfem.

— Zaraz uwolnię was wszystkich — chrząknął, zdzierając pasy z całego ciała.

Zeskoczył ze stołu i przeciągnął się. Wyszczerzył w ich stronę zęby.

— Wiecie co, to zabawne – ale czuję się wspaniale. Ha, musiałem wypocić z siebie cały ból. No dalej, Gunn, ty pierwszy.

— Dzięki, Karl. Ciągle jesteśmy kumplami, co nie?

Kiedy Gunn był wolny, Mussdorf podszedł i stanął nad Emersonem. Popatrzył na niego z góry. Nagle jego oczy zwęziły się. Lekko się uśmiechnął, wykrzywiając wargi.

— Może wy chłopcy powinniście pozostać w więzach — stwierdził. — Na wypadek, gdyby to… to stworzenie wróciło. Nie wściekłoby się na nas tak bardzo za to co robimy.

— Nigdy w życiu — powiedział Emerson.

Ale Mussdorf pokręcił głową, a jego wargi zacisnęły się.

— Nie. Nie, myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli zrobię tak jak powiedziałem.

— Nie bądź głupi, Mussdorf — warknął szaleńczo Emerson. — A przynajmniej, myślenie to nie twoja działka. Zostaw je mnie. To ja jestem dowódcą naszej grupy. I to co mówię, to rozkaz.

Mussdorf uśmiechnął się kwaśno. W jego oczach pojawił się błysk gorącego, zaciętego gniewu.

— Ty byłeś naszym dowódcą – tam w kosmosie. Teraz jesteśmy na planecie. To zupełnie inna sprawa. Chcę poznać tajemnicę tych mgieł, Emerson. Coś mi mówi, że na Ziemi dostałbym za nią fortunę.

Emerson wił się bezradnie, przeklinając go, a potem powiedział:

— Co w ciebie wstąpiło?

— Nic nowego. Pamiętasz mnie, Karla Mussdorfa? Jestem skazańcem, ot co. Skazanym na kopalnie soli. Zrobiłbym wszystko, by wydostać się z tego piekła. Zgłosiłem się, żeby polecieć z wami po rad. Ja i Gunn. Nichols się nie liczy. Poleciał, żeby ratować żonę i dzieci. Byliśmy jedynymi, którzy się zgłosili. My, dwaj skazańcy.

Mussdorf wciągnął powietrze do płuc, tak mocno, że w rozdarciach jego kurtki pokazały się naprężone żebra.

Mówił dalej, powoli:

— Przez cały czas myślałem, że jeśli znajdziemy rad w dostatecznej ilości, uda nam się wyleczyć ludzi z tego kosmicznego paskudztwa. Chciałem być kimś takim, Emerson. Mając swoje ułaskawienie i te korzyści, mógłbym na Marsie żyć jak król. A wiesz przecież co to znaczy, żyć jak król na Marsie.

Emerson zwinął się w swych pasach, szarpiąc się i wykręcając, aż zatrzeszczały mu mięśnie, usiłując się wyrwać. Jego wargi obrzucały wielkiego kryminalistę wściekłymi przekleństwami.

— Jeśli uda mi się stąd wydostać, ja już cię nauczę, kto tu jest szefem – od razu!

Mussdorf zaśmiał się z pewnością siebie.

— Nie przejmuj się. Nie uda ci się. Te pasy są całkiem mocne. Miałem szczęście, że jeden z moich był naderwany.

Wielki mężczyzna odwrócił się do Gunna; popatrzył na niego z ciekawością.

— Til, jesteś ze mną?

Gunn obrzucił wzrokiem Emersona, popatrzył na Mussdorfa i przytaknął.

— Myślę, że mamy szansę, szefie — wymamrotał cicho. — Damy im te mgły, które nie mają zarazków. One są kupę warte. Ludzie mnóstwo zapłacą, żeby mieć powietrze bez zarazków.

Obaj skierowali się do drzwi. Zatrzymali się w progu i obejrzeli do tyłu.

— Damy ci szansę, żebyś to sobie przemyślał, Emerson — zaszydził Mussdorf. — Możesz zarobić parę miliardów, tak samo jak my. Nie jesteśmy świniami. Chętnie się podzielimy…

— Wynocha! — wycedził z wściekłością Emerson.

Mussdorf wzruszył ramionami i wyszedł za Gunnem na korytarz, uważnie zamykając za sobą drzwi. Rozejrzał w obie strony marszcząc brwi.

— Nie znamy tego miejsca — wolno oznajmił. — Trzymaj się blisko mnie, Til. Możemy natknąć się na jakichś kumpli tej bestii. Fizycznie jest poza naszym zasięgiem, ale niech mnie diabli, jeśli nie mamy więcej rozumu niż on i całe jego plemię, jeśli tylko użyjemy szarych komórek we właściwy sposób!

Przez długie minuty szli po czarnej, marmurowej posadzce. Grube draperie rozwieszone na ścianach tłumiły ich kroki, ale i tak przez cały czas rzucali za siebie wystraszone spojrzenia. Niesamowita cisza wisząca nad tym miejscem rozdzierała ich skołatane nerwy.

Ręka Mussdorfa zacisnęła się na ramieniu Gunna jak imadło, że niższy mężczyzna aż zapiszczał.

Spoza ich pleców dolatywał odgłos powolnego szurania potężnego cielska.

— Tutaj — rzucił ostro Mussdorf, pociągając Gunna za sobą do wyciętej w marmurowej ścianie niszy. Wcisnęli się do środka, zasuwając za sobą draperie. Przygryzając wargi, wstrzymali oddechy.

Ogromne cielsko przeszło tuż koło nich, wywołując falowanie zasłon, które odsłoniły stopy Ziemian. Ale stworzenie nie obejrzało się w bok. Mussdorf i Gunn powoli zaczęli cichutko oddychać. Nie wiedzieli, że Irgi był ostatnim ze swej rasy, że przyzwyczaił się do samotności, że nie miał w zwyczaju spuszczać z oczu celu swej drogi.

Wyjrzeli na zewnątrz. Zobaczyli potwora zbliżającego się do wielkich wrót z brązu, zdobionych rzeźbami o obcym pięknie. Obserwując ze wstrzymanym tchem, ujrzeli jak wrota rozsuwają się na boki bez żadnego dotknięcia.

— Wiązka światła — wyszeptał Mussdorf.

Przez otwarte wrota zerknęli do Komnaty Stożków; ujrzeli ze strachem wielki blok migocącej bieli, pulsujący wewnętrznym ogniem. Jak sparaliżowani przyglądali się dziesięciu błyszczącym stożkom, otoczonym pierścieniami jasnego światła.

Ruszyli ostrożnie naprzód i zatrzymali się przy wrotach.

Czarne stworzenie naciskało na dźwignie, zręcznie nimi manipulując. Wielkie stożki zaczęły delikatnie brzęczeć, a potem rytmicznie łomotać. Czuć było straszliwą energię pulsującą w pomieszczeniu, powodującą, że drżeli w jej rytmie, chociaż stali poza jej zasięgiem. Lekka, błękitna mgiełka pociemniała; nabrała głębszej barwy, ciemnoniebieskiej. Ze

stożków strzeliło szerokimi pasmami niebieskie światło, zalewając całe pomieszczenie wokół nich.

Irgiego również, jak zauważyli. Wyciągnął się na pełną wysokość, wyginając się i obracając zręcznie, pomimo swego ogromu. Skąpał się dokładnie w świetle, a ono otoczyło go i całkowicie okryło.

— On jest kompletnie zalany — wychrypiał Gunn z ekscytacją. — On się tym upija, niezależnie od tego, co to jest. Pijak jeden, taką wspaniałą rzecz trzyma wyłącznie dla siebie. Popatrz tylko na niego. Nurza się w tym, jakby to był szampan. Jezu – chętnie też bym sobie tego strzelił!

I Gunn skoczył błyskawicznie, zanim Mussdorf zdążył go zatrzymać. Uchylając się przed wyciągniętą ręką wielkiego mężczyzny, ruszył pełnym biegiem prosto w strzelające niebieskie pasma.

— O, dobry Boże! — wyszeptał Mussdorf.

Tuż przed jego oczyma, mały Gunn zesztywniał w niemożliwej do zniesienia męczarni, wyciągnął się cały, zupełnie sztywny. Zawisł w ten sposób przez jedną, długą chwilę, nieruchomo.

Potem Gunn… zniknął.

Mussdorf zamrugał oczyma i wpatrywał się z niedowierzaniem. Jeszcze chwilę temu mały kieszonkowiec znajdował się tuż przed nim. Teraz, w miejscu w którym stał, nie było niczego poza tymi pulsującymi kobaltowymi wstęgami, huczącymi, walącymi, łomoczącymi.

„Zniknął wprost na moich oczach” — pomyślał Mussdorf. — „Wyparował. Rozpłynął się w powietrzu. Nie, nie w powietrzu. W tym cholernym błękicie. Po prostu wchłonęło go, tak jak bibuła wchłania atrament!”

Mussdorf poczuł zimne przerażenie, cały drżał.

Obrócił się błyskawicznie i popędził korytarzem prosto do drzwi laboratorium. Odskoczyły do tyłu pod uderzeniem jego rąk. Pomknął w stronę białych stołów, podczas gdy Emerson i Nichols wpatrywali się w niego, zdumieni widokiem jego trupio-bladej twarzy.

Wielkie, opalone łapska zacisnęły się na pasach więżących Emersona, wytężając się, żeby je zerwać.

— Uspokój się, człowieku — powiedział Emerson stanowczo. — Gdyby dało je się rozerwać, dawno bym już to zrobił. Odepnij sprzączki.

— Tak, tak. Masz rację — wyszlochał ogromny skazaniec.

— Co ci się stało?

— Nie mnie. Gunnowi. Mały Tilford Gunn. Nie żyje. Ta… ta przeklęta czarna bestia zabiła go tym swoim niebieskim cholerstwem. Prosto na moich oczach. Mam zamiar zebrać nas wszystkich, żeby go dopaść. To dlatego tutaj wróciłem.

— O czym ty bredzisz? — delikatnie ostudził go Emerson. — Weź sobie chwilę oddechu, człowieku. Co za niebieskie cholerstwo?

— W wielkim pomieszczeniu, na końcu korytarza. Tam coś straszliwie huczy i tryska z tego to głębokie światło, ciemne jak szafir. Złapało go, tak

to było. Rozpłynął się w zupełną nicość. Ja… ja nie mogę zapomnieć tego widoku.

Odpiął ostatnią sprzączkę i spokojnie czekał, kiedy Emerson wstał i przeciągnął się. Pierś falowała mu, gdy ciężko łapał oddech.

Nagle powiedział:

— A może wiejmy stąd, póki jeszcze możemy? Jeśli to stworzenie będzie chciało ponownie na nas eksperymentować… do diabła z nim. Chodźmy i szybko uciekajmy.

Emerson oswobadzał Nicholsa, słabo się uśmiechając.

— A co z twoją fortuną, Mussdorf? Co z życiem jak król, na Marsie?

Mussdorf oblizał wargi, szepcząc:

— Do diabła z tym. Ja chcę tylko się stąd wydostać, to wszystko. To czarne stworzenie dysponuje mocami, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy, o których nawet nie marzyliśmy. Mówię wam, te niebieskie pasy…

Mussdorf zaklął.

Emerson błyskawicznie się odwrócił, sięgając po pistolet energetyczny.

W drzwiach stał Irgi, spoglądając na nich z zamyśleniem. Wydawało się niemal, że kręci swą ogromną głową, ze smutkiem.

— Powstrzymajcie go, niech któryś z was to zrobi — bełkotał Mussdorf, starając się, przecisnąć za ich plecy. — Może choć jeden z nas zdoła uciec.

Stworzenie wyciągnęło swe macki, tak szybko, że Emerson mógł tylko przeklinać bezradnie, kiedy jego trzymająca broń ręka została uderzona z plaskiem i przyciśnięta mu mocno do boku. Nichols wił się obok niego, w miażdżącym uścisku drugiej macki. Mussdorf zemdlał.

Patrząc na jego leżące ciało, Emerson uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział do Nicholsa:

— Cokolwiek stało się z Gunnem, musiało to być naprawdę paskudne. W New Mars mówili mi, że Karl Mussdorf to cholernie twardy gość.

— Taaa — wyszeptał Nichols.

Emerson uniósł wzrok na stworzenie, przyglądając mu się uważnie i myśląc: „Może uda mi się go skłonić, żeby mnie posłuchał. Może nawet wypuści nas na wolność, jeśli zdołam się z nim porozumieć.”

— Co masz zamiar z nami zrobić? — spytał tak spokojnie, jak tylko był w stanie.

Stworzenie popatrzyło na niego, a jego cienkie usta poruszyły się, ale Valentine Emerson nie usłyszał nawet słowa. Pokręcił ponownie głową, ze smutkiem.

Irgi zdał sobie sprawę, iż nie jest w stanie przekonać tych istot, że im tylko pomaga.

„Nie słyszą mojego głosu, ponieważ ma on niższą częstotliwość, niż potrafią wykryć ich uszy. A nawet gdyby mnie usłyszeli, nie zrozumieją mnie. Muszę wyleczyć ich z tych narośli chorobowych. Dzięki temu, będą wiedzieli, że mam przyjazne zamiary. Będzie dosyć czasu, że

przedyskutować inne sprawy. Kwestie takie jak wybudowanie dla mnie wielkiego pomnika. Pomnika Irgi, największego syna Urg.”

Zaniósł ich do Komnaty Stożków; łagodnie położył ich na podłodze.

Ten duży, z czarnymi włosami i krzaczastymi brwiami, coś krzyczał. Był przesiąknięty emocjami: gniewem. I także strachem. Tak, ten czarnowłosy bał się. Był bardziej wystraszony niż rozgniewany. Irgi obserwował go z ciekawością. Musiał widzieć, jak zginął ten mały, kiedy pulsowały Stożki.

Źle, że tak się stało, myślał Irgi, wiążąc ich. Ale te istoty były takie porywcze, niemalże dziecinne w swej emocjonalnej histerii. Nie potrafił przekazać im informacji, że Stożki były dostrojone do pulsacji w rytmie jego ciała, nie ich. A wszystko, co nie odpowiadało tej szczególnej wibracji – ulegało zagładzie. Po prostu przestawało istnieć, zmiecione przez potop energii uwalnianej z białego bloku.

Irgi pokręcił tarczami na panelu przyrządu. Znał rytm tych stworzeń i dostroił urządzenie, aby ustawić je na niego. Tym razem niebieskie promieniowanie nie zrobi im krzywdy. Zamiast tego obróci ono w nicość narośla chorobowe, które z wolna wysysały z nich życie.

Tkwiło w tym także pewne zagrożenie dla Irgiego. Nie mógł zostać w Komnacie, żeby ich pilnować. Musi stąd wyjść. Ustawił automatyczne regulatory tak, by urządzenie zaczęło działać za pięć parazawów, pracowało przez jeden azaw, a potem się wyłączyło. Wtedy będzie mógł tu bezpiecznie wrócić, ponieważ ciemnoniebieskie światło i łomocący brzęk przestaną już działać, i stożki zostaną wyłączone.

Irgi obrzucił wzrokiem leżące istoty. Ten czarnowłosy ciągle szalał, ale pozostali dwaj leżeli spokojnie, obserwując go. Skinął głową z aprobatą. Czarnowłosy nieustannie próbował wzbudzić w pozostałych burze emocji, trzymające go w swych szponach, ale oni byli zbudowani z innego materiału.

Wyszedł przez drzwi, które zasunęły się za nim.

Emerson wychrypiał:

— Zamknij się!

Leżeli w milczeniu przez długie chwile. Emerson przyglądał się uważnie białemu blokowi, stożkom i spiralnym, błyszczącym pierścieniom. Myślał intensywnie, próbując wyobrazić sobie ich zastosowanie. Ogromna siłownia, nieznanego rodzaju. Prawdopodobnie energia atomowa, wysysana z białego bloku w jakiś nieziemski sposób. Energia atomowa, która tryska ze stożków na zewnątrz, w postaci pasm o jakichś widzialnych barwach. Czy mogła być to powódź atomów, bombardujących wszystko co znajdowało się w pomieszczeniu?

Mussdorf warknął:

— Mówię wam, że ono ma zamiar pozbyć się nas, dokładnie tak samo, jak to zrobiło z Gunnem.

— Człowieku, nie bądź głupcem — odparł ze znużeniem Emerson. — Po co ten stwór miałby sobie robić sobie tyle kłopotu, tylko dlatego by nas

zabić. Jeden szybki ruch tych jego macek i ukręciłby nam łby jak kurczakom. Przyniósł nas tutaj w jakimś określonym celu. Nie przeczę, że może chce przeprowadzić na nas jakieś eksperymenty. Ale powinien mieć jakichś kumpli, którzy by się przy tym do niego przyłączyli. Zabawne, że nie widzieliśmy nikogo innego, takiego jak on.

— Spójrz — powiedział nagle Nichols.

Biały blok zaczął promieniować, pulsować, rzucać błękitnawe promienie, które omiatały stożki i uciekały na zewnątrz w coraz bardziej rozszerzających się łukach, by rozprysnąć się na ścianach. Niebieskie światło pogłębiało się, robiło fioletowe. Pulsowało szybciej, żwawiej. A brzęczenie stożków stawało się ogłuszające.

— Nic nie czuję — stwierdził Emerson. — Nadal was widzę, koledzy. Cokolwiek stało się z Gunnem, nie dzieje się z nami.

Odwrócił się; stwierdził, że więzy z niego opadły, usiadł więc prosto. Podniósł się na nogi i zaczął rozglądać się dokoła.

— Więzy, które nas trzymały, zniknęły. Jak Gunn.

Mussdorf wymamrotał pod nosem parę przekleństw, ale on również wstał, pytając:

— Co teraz zrobimy?

— Zostaniemy tu i zobaczymy jaki będzie następny punkt programu. Ciągle nie wierzę, żeby to stworzenie chciało zrobić nam krzywdę.

— Ech, zawsze byłeś sentymentalnym głupcem — warknął Mussdorf. — Dlaczego miałoby zawracać sobie głowę ratowaniem nas? To się nie trzyma kupy. To jakiś idiotyczny plan jego chorego mózgu. Nie może być przecież altruistą. Nie taka czarna ośmiornica. Boże, co to za stwór!

Nichols uśmiechnął się kwaśno.

— Myślę, że my wyglądamy dla niego równie dziwacznie, jak on dla nas. Mówi do nas, ale my nie możemy nawet usłyszeć jego głosu. Być może on nas słyszy, ale łatwo przewidzieć, że nie wie o czym rozmawiamy. Coś w stylu „Gadał dziad do obrazu, a obraz ani razu". Wschód i Zachód i tego rodzaju rzeczy.

— Tylko, że to jego układ słoneczny — zgodził się Emerson, podchodząc do skomplikowanych paneli sterujących na ścianie. Wyciągnął rękę, w stronę przełącznika…

Zatrzymał ją, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

Jego ręka. Dobry Boże, jego ręka!

— Nichols! Mussdorf! — wykrzyknął, skacząc w ich stronę. — Pokażcie mi wasze ręce, wasze twarze. Tak, widzicie? Moje też. Nie ma. Nie ma guzów. One zniknęły! Te grudki oznaczające raka – zniknęły. Zostaliśmy wyleczeni!

Patrzyli po sobie z przerażoną fascynacją. Nichols szarpnął za kurtkę, zerwał ją z siebie, przebiegł badawczymi palcami po swej skórze. Nagle załkał. Zaczął histerycznie płakać, z drżącymi ramionami.

— Czymkolwiek to jest, wyleczyło nas — wyszeptał Emerson, kierując spojrzenie do góry, na wielkie błyszczące stożki, które wznosiły się wysoko nad ich głowami.

— Ada i dzieci — szlochał Nichols. — Gdyby tutaj byli, ich również moglibyśmy wyleczyć.

— Możemy uwolnić świat od Plagi — odetchnął Emerson.
— Fortuna — wyszczerzył zęby Mussdorf, z błyszczącymi oczyma.
Emerson zauważył:
— Gdybyśmy wiedzieli, jak to urządzenie działa, moglibyśmy zbudować takie samo na Ziemi. Powielić je.
Mussdorf opuścił rękę na kolbę swojego pistoletu energetycznego. Uśmiechnął się ponuro.
— Za odpowiednią cenę, szefie. Pomyśl o tym. Zostaniemy miliarderami! Ta dziewczyna w New Mars… phi! Mógłbym mieć dziewczyny dziesięć razy lepsze od niej, i to same by mi się rzucały w ramiona.
— Przylecieliśmy tu z określonym zadaniem — odparł Emerson stanowczo — i musimy je wykonać.
Mussdorf wyciągnął broń, unosząc ją i celując w szeroką pierś Emersona.
— Jestem zmęczony tymi twoimi przeklętymi ideałami — wydusił z siebie wściekle. — Ty się nigdy nie zmienisz. Tak samo, jak i ja. Czas na słowa już minął. Teraz zaczynam działać…
Jego palec nacisnął na spust.
A Emerson rzucił się na niego, jak obrońca w rugby, przechwytujący biegnącego z piłką przeciwnika.
Żółte wyładowanie nie zdołało opuścić lufy pistoletu. Zostało zduszone w gniewnym rozprysku kobaltowej barwy. Barwy, która skwierczała.

Emerson mocno uderzył pięścią, trafił wielkiego awanturnika w bok szczęki, gwałtownie odrzucając mu głowę do tyłu. Walił bezlitośnie pięściami, na przemian to lewym to prawym, skakał wokół Mussdorfa, okładając mu żebra, tłukąc go ciosami na szczękę i żołądek.
Mussdorf upadł i przetoczył się. Poderwał się na nogi.
Emerson zaszedł go z boku, znowu rzucił się na niego. Jego pięści okładały szczękę Mussdorfa, przerzucając mu głowę z boku na bok. Kostki rozcięły naprężoną skórę i wycisnęły kropelki krwi. Mussdorf zatoczył się oszołomiony i padł na twarz, kiedy Emmerson znowu walnął go w głowę.
— Wystarczająco długo cię już znosiłem — splunął na powalonego mężczyznę. — Teraz, kiedy rozkażę ci skakać – masz podskakiwać jak żabka!
Emerson pochylił się, wyrwał broń Mussdorfowi; wcisnął ją sobie za pas.
— Ale po to właśnie wyruszyliśmy, aby to zdobyć — powiedział Nichols. — To oznacza życie… bezpieczeństwo… zdrowie… wolność od raka… dla wszystkich ludzi na Ziemi i na Marsie.
— Wiem — przytaknął Emerson. — Będziemy musieli to zabrać.
Przebiegł wzrokiem po stożkach i pokręcił głową. Były zdecydowanie za duże, żeby załadować je na statek. Ale, może uda się je powielić, jeśli będzie wiedział jak one działają.
— Szybko — rzucił do Nicholsa. — Zacznijmy szukać jakichś schematów – planów technicznych – wszystkiego co mogłoby nam

powiedzieć czym jest ten aparat, jak on funkcjonuje, jaka jest jego zasada działania.

Rozbiegli się po pomieszczeniu, przeszukując wiszące na ścianach zwoje, wyryte w kamieniu i metalu inskrypcje. W dalszym kącie, w niszy leżała ołowiana kaseta. To Emerson ją znalazł, i jego wrzask tryumfu, sprowadził pędem Nicholsa.

— Tutaj na niej jest wszystko. Diagramy, obliczenia. Wszystko opracowane matematycznie. Nie używają naszego systemu, ale łatwo będzie odcyfrować ich. Mamy to, Car!

Nichols stał nachylony, bezdźwięcznie poruszając wargami.

— To energia atomowa, bez wątpienia — zapewnił Emerson. — A ten blok jest jej źródłem. Ale Boże, co za niesamowity postęp w porównaniu z energią atomową, jaką my znamy. Blok działa pod wpływem stożków, które powodują, że wysyła on strumienie radioaktywnych atomów, miotając je z powrotem na stożki. One je zbierają i z kolei emitują na całe pomieszczenie.

— Materia jest nieustannie w ruchu, dzięki molekułom, w których jest zawarta. Przez cały czas poruszają się one wokół siebie; w przypadku wszystkich ciał stałych, odbywa się to mniej więcej tak samo. Ten ruch ma swoją stałą określoną szybkość. Do pewnego stopnia, można powiedzieć, że drgają one w ustalonym rytmie. Gdy atomy wysyłane przez urządzenie są dostrojone do tego rytmu, wzmacniają go i zasilają. Jeśli materia wibruje inaczej niż wysyłane atomy, niszczą ją one. Sznury, którymi nas związano, zniknęły, ale nasze ubrania pozostały nietknięte. Pewnie dlatego, że rzeczy, które mamy na sobie, w jakiś sposób są dostrojone do prędkości naszych własnych drgań. Powodem jest może to, że nasze ubrania pochodzą z Ziemi, a wszystkie rzeczy z Ziemi cechują się tym samym szczególnym rytmem pulsacji. Jeszcze nie jestem pewien. Ale wiem, że wszystko co jest w tym pomieszczeniu, kiedy stożki ustawione są na pewien rytm, musi albo wibrować w harmonii z tym rytmem, albo jest całkowicie unicestwiane przez uderzające w to atomy. Tak jak Gunn. Jak komórki rakowe, drgające inaczej niż reszta zdrowego ciała!

— Blok! — wyszeptał Nichols. — Będziemy potrzebowali tego bloku!

— Z pewnością. Niemal na pewno zbudowany jest z radu – być może przetworzonego w jakiś sposób, którego nie znamy. Ale możemy go zabrać. Pasuje do tej kasety. Została ona zrobiona do jego przechowywania. Jest z ołowiu.

Wrota zaczęły się bezgłośnie otwierać. Ostrzeżony przez skierowane na siebie spojrzenia, Emerson błyskawicznie okręcił się na pięcie i rzucił się do urządzeń sterujących stożkami. Położył rękę na dźwigni i odwrócił twarzą do stworzenia.

— Nie wiem, czy mnie słyszysz, stary — wywarczał. — Ale to urządzenie jest teraz dostrojone do naszych ciał, a nie do twojego. Chcemy ten blok… — rzucił głową w stronę świecącego białego prostopadłościanu — i zabierzemy go ze sobą. Jeśli nie odsuniesz się na bok – zginiesz!

— I tak go zabij! — wyszeptał Nichols.

— Tak, ty słaby głupcze — wywarczał przez spuchnięte, poranione wargi leżący na podłodze Mussdorf. — Naciśnij tę dźwignię i poślij go do diabła.

Emerson pokręcił głową, ciągle patrząc na stworzenie, które stało nieruchomo w wejściu, odpowiadając mu spojrzeniem.

— To byłoby morderstwo. On jest inteligentną istotą. Jeżeli nie będzie nam przeszkadzał, niech zostanie przy życiu.

Czarny potwór odwrócił się i odszedł korytarzem. Emerson odetchnął z ulgą, stwierdził, że jego dłoń jest mokra i klei się. Otarł ją o udo, odwracając się do pozostałych.

— Bierzemy się za to — ostro polecił. — Wstawaj z tej podłogi Mussdorf i pomóż Nicholsowi. Zanieście to ołowiane pudło między stożki i postawcie pod blokiem. Mam zamiar zwolnić tę siłę, która utrzymuje go w zawieszeniu. Chcemy zabrać ten blok. Potrzebujemy go. Stożki i pierścienie możemy zbudować u nas, na Ziemi, ale nigdzie w całym Wszechświecie nie znajdziemy czegoś takiego jak ten blok!

Pracowali z gorączkowym pośpiechem, przeciągając pojemnik po podłodze. Emerson przyglądał się panelom sterującym, koncentrując się z takim wysiłkiem, że aż pot zrosił mu czoło. Przypominał sobie lata swojej nauki pod kierunkiem największych fizyków świata na Uniwersytecie Ziemskim, lata zbierania okruchów wiedzy w laboratorium i na statku kosmicznym, na Ziemi oraz w wielkim czerwonym mieście New Mars. Miał tylko jedną próbę. Musiała być ona udana. Jeśli popełni jakiś błąd, oznaczać to będzie wydanie ich na pastwę skoncentrowanej furii miliardów anihilujących atomów.

Z wahaniem dotknął dźwigni, marszcząc z namysłem brwi, starając się przypomnieć sobie diagramy wyryte na metalowej kasecie. Tak, ten. To powinno być to. Zacisnął uważnie palce na świecącej, białej gałce, obrócił ją z niesamowitą powolnością, spoglądając przez cały czas na wielki biały blok. Zobaczył, że zadrżał on, a następnie powoli osunął się na dół.

— Mamy go! — wrzasnął Nichols, zatrzaskując ołowianą pokrywę i zamykając ją na zamek.

Żeby poruszyć pojemnik i popchnąć go powoli po podłodze, trzeba było połączonych sił całej trójki.

— Do diabła — wysapał Mussdorf. — Nigdy nam się to nie uda. Kiedy tylko znajdziemy się w korytarzu, ten czarny diabeł znowu na nas wsiądzie.

Jakoś wydostali się z Komnaty i szurając pchali pojemnik przez korytarz. Szczęśliwie podłoga była równa, a rampa prowadząca z Komnaty Stożków na wielki plac, gładka. Ale na placu, napotkali trudności nie do pokonania. Nie było sposobu, żeby unieść pojemnik na odpowiednią wysokość i wsadzić do statku.

— Nie damy rady tego zrobić — ponuro przyznał Emerson. — Żeby to podnieść, potrzebny byłby dźwig.

Mussdorf kopnął pojemnik i zaklął. Nichols przesunął drżącymi palcami po włosach na głowie, cały roztrzęsiony.

Wtedy Emerson szeroko się uśmiechnął.

— Dźwig, no pewnie. Mamy tu przecież coś takiego, jeśli tylko uda nam się zaprząc go do tej roboty. Stworzenie, to czarne stworzenie. Jest równie silne co każdy dźwig, jaki kiedykolwiek widziałem na oczy!

— Myślisz, że ono to zrobi? — spytał Mussdorf.

— Możemy spróbować. Może groźba użycia blasterów załatwi sprawę.

Tak naprawdę w to nie wierzył, pamiętając jak czarny stwór poprzednio potrafił uchylić się przed strzałami. Ale była to ich jedyna nadzieja. Wyciągnął swoje dwa pistolety i zawrócił; zatrzymał się jak wryty, patrząc z zaskoczeniem.

Czarne stworzenie schodziło po rampie, płynnie przenosząc swe ogromne ciało i zmierzając ku nim. Zignorowało ich, kierując się prosto w stronę ołowianego pojemnika.

Irgi podniósł ołowianą kasetę w trzech ze swych pomarszczonych macek, balansując nią w powietrzu. Przysunął się do statku i wrzucił pojemnik przez otwarty właz.

Emerson zmarszczył brwi. Podszedł do stworzenia i popatrzył mu prosto w oczy.

Stworzenie bez jednego mrugnięcia odpowiedziało mu spojrzeniem. Wskazało na przezroczystą kopułę nad głowami, a potem poklepało Emersona po nadgarstku, z siłą która prawie mu go złamała.

— Ma zamiar otworzyć dla nas kopułę. Chce nas wypuścić na wolność!

Irgi obserwował jak statek kurczy się do rozmiarów jasnej kropki, wysoko na niebie. Ze smutkiem odwrócił się i ruszył z powrotem pustymi korytarzami, znowu zupełnie sam.

Żałował, że tutaj nie zostali, nawet pomimo tego, że kompletnie nie był w stanie ich zrozumieć. Przynajmniej były to istoty, które się poruszały, rozmawiały między sobą, okazywały emocje. Ale z jakiej dziwnej planety musiały przylecieć! Planety na której bohaterzy byli czczeni, gdzie wielkim ludziom z ich rasy budowano wysokie, potężne posągi. Irgiemu podobała się ta idea, aczkolwiek była ona obca dla Urg. Chętnie rozmyślał o tym, że na tej planecie zwanej Ziemią, powstanie również pomnik poświęcony jemu. Tak, przecież te istoty z pewnością opowiedzą o tym, jak Irgi im pomógł, jak dał im biały blok, który ocali ich przez zagładą, nawet jeśli będzie to w efekcie oznaczać jego własną śmierć.

Irgi był szczęśliwy. Nie było co do tego wątpliwości. Na tej dalekiej planecie zbudują mu piękny pomnik. Irgi, zbawca rasy, zwanej ludzie. Bohater ludzkości, którego należy czcić. Żałował ze smutkiem, że jego tam nie będzie, że tego nie zobaczy. Ale obawiał się, że wystraszy te stworzenia. Gdyby wcisnął swe ogromne cielsko do statku, mogłyby nawet coś sobie zrobić.

Nie, tak będzie lepiej.

Zaś w statku kosmicznym Emerson, Mussdorf i Nichols przysiedli nad ołowianą kasetą, dyskutując o niej, kopiując znajdujące się na niej obce symbole i schematy, do dalszych studiów.

Emerson zmarszczył brwi, ostrożnie dobierając słowa:

— O ile mogę ocenić, całe to urządzenie wykorzystuję formę bombardowania atomami materii. Przypuśćmy, że jego szybkość wibracji jest ustawiona na materię a. Wszystko inne niż materia a, na przykład jakaś inna substancja b, jest uderzana przez te pędzące atomy z taką szybkością i tak często, że po prostu zupełnie ją niszczą.

— W przeszłości, w dwudziestym wieku, wykorzystywano już tę zasadę do leczenia raka. Bombardowali komórki rakowe radioaktywnymi atomami – wypełniając atomy neutronami ponad ich zdolności do utrzymania ich przez dłuższy czas – i atomy te niszczyły raka. Wydaje mi się, że w ten sposób leczono też jakieś inne choroby, z pewnymi sukcesami. Wole, na przykład. I jeśli dobrze sobie przypominam, atomy mogły namnażać albo usuwać komórki krwi.

— Ale nasz blok i stożki wydają się stanowić ostateczne udoskonalenie tej idei. Być może atomy posiadają jakimś stopień inteligencji, z tego co nam wiadomo. Nigdy na pewno tego się nie dowiemy. Mają one określoną siłę oddziaływania i zdają się być przyciągane do niebezpiecznego miejsca, tak jakby było ono namagnetyzowane.

Siedzieli w milczeniu, zamyśleni.

— Taa — w końcu odezwał się Mussdorf. — To zaczyna trochę pasować. Gunn nie był w harmonii z tą czarną bestią, a więc natychmiast został unicestwiony. Gunn był człowiekiem, a tamten nie.

Emerson skinął głową, a jego oczy rozszerzyły się.

— Mój Boże! — wyszeptał. — Ten blok i stożki mogą uczynić człowieka nieśmiertelnym!

Mussdorfa zatkało; nagle się roześmiał.

— A więc dlaczego ten czarny stwór pozwolił nam to sobie zabrać prosto sprzed nosa? Przecież on nam nawet pomógł.

— Szkoda, że nigdy się tego nie dowiemy — wymamrotał Emerson, zakłopotany. — Szkoda, że nigdy się tego nie dowiemy.

Mussdorf zrobił groźną minę, spojrzał na niego bokiem i odchrząknął.

— Przepraszam, ale lekko mi tam odbiło — wymamrotał. — Myśl o tym ile to wszystko było warte, trochę uderzyła mi do głowy. Przecież już sama możliwość wyleczenia raka kosmicznego, Val… do diabła! Dadzą nam za tę robotę luksusowe emeryturki. Bardzo mi przykro.

— Daj sobie spokój — odparł Emerson. — Ten czarny stwór spowodował, że wszyscy byliśmy trochę roztrzęsieni. Wydawało się, że będzie z nim trudny orzech do zgryzienia. Jednak jestem nim nieco rozczarowany. Z pewnością dał się oszukać, kiedy dotknąłem tej dźwigni. Ale tak szybko podkulił pod siebie ogon.

— Być może był on dokładnie taki, jak na to wyglądał, Val — wymamrotał z zamyśleniem Nichols. — Zwierzę – pozostawione tam przez

prawdziwych budowniczych Stożków, żeby włączyć je dla kogoś takiego jak my, kogoś kto ich potrzebował.

— Na pewno — przytaknął Mussdorf. — Tak właśnie było. Car trafił w dziesiątkę. Po prostu wielkie zwierzę, które wiedziało na tyle dużo, by uruchomić to urządzenie, i ani odrobinę więcej.

Irgi był samotny i było mu zimno. Bez białego bloku, który karmił jego ciało, będzie mu stopniowo coraz bardziej zimno. Ale Irgi miał uśmiech na twarzy. Kiedyś zostanie bohaterem. Zbudują mu ogromny pomnik.

Znowu poczuł żal, że tego nie zobaczy. Ale wiedział, że na Ziemi nie byłby szczęśliwy. Zawsze otaczałby go strach, który Ziemianie zdawali się czuć wobec niego. Irgiemu wydawał się on strasznie głupi. Powodował, że zawsze byli na skraju wyrządzenia sobie krzywdy. Tak jak w Komnacie Stożków, kiedy jeden z nich położył rękę na dźwigni, żeby uwolnić furię stożków. Dlaczego on to zrobił? A ci inni ponaglali go jeszcze, żeby ją nacisnął! Czy strach odebrał im rozum? Czy nie wiedzieli, że natychmiast obróciliby się w nicość? Przecież musieli zdawać sobie sprawę, że urządzenie automatycznie wraca do jego prędkości wibracji, a nie ich. Maszynę zbudował dla siebie. W spoczynku, dostrajała się do jego rytmu pulsacji.

Bał się o nich, i dlatego odszedł stamtąd, zostawiając ich, żeby poradzili sobie z pojemnikiem, tak jak potrafią. Miał zamiar sam im go zanieść, ponieważ lepiej żeby przeżyła cała rasa niż jeden Urgianin. Gdyż Irgi umrze bez bloku. No cóż, to była wymiana jednej formy nieśmiertelności na drugą. Ciągle jednak żałował, że nie zobaczy tego posągu.

— Zwierzę — ciężko powiedział Emerson. — No cóż, może macie rację. Po prostu zwierzę, bojące się trójki ludzi. Zapomnijmy już o nim.

Irgi wzdrygnął się.

Było mu coraz zimniej…

KONIEC